

# ERNEST HEMINGWAY

## Wiosenne wody

Romantyczna powieść  
na cześć  
przemijania  
wielkiej rasy

Przełożył  
Adam Pluszka

MARGINESY

*The Torrents of Spring: A Romantic Novel in Honor of the Passing of a Great Race*

COPYRIGHT © BY

Hemingway Foreign Rights Trust / Hemingway Copyright Owners

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION AND AFTERWORD BY  
Adam Pluszka

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY

Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2023

Może dlatego autorowi utworów komicznych nie wolno pod żadnym pozorem odchyłać się od natury. Autor utworów poważnych byłby mniej odpowiedzialny za takie odchylenie, gdyż nieczęsto spotyka się z tym, co wielkie i godne podziwu. Życie powszednie zaś na każdym kroku dostarcza bystremu obserwatorowi okazji do śmiechu.

Henry Fielding

Dla H.L. Menckena  
i S. Stanwooda Menckena

Z podziwem





## Czerwony i czarny śmiech

Mnie się wydaje, że jedynym źródłem prawdziwej śmieszności jest udawanie.

Henry Fielding

Yogi Johnson stał i wyglądał przez okno dużej fabryki pomp w Michigan. Wkrótce będzie wiosna. Czy możliwe, zastanawiał się Yogi Johnson, żeby to, co powiedział ten gryziپیórek Hutchinson – „surowa Zima, lecz czy jej śladem nie mknie Wiosna nowa?” – także w tym roku okazało się prawdą? Niedaleko Yogiego, nie przy tym obok, tylko przy następnym oknie, stał Scripps O'Neil, wysoki, szczupły mężczyzna o pociągłej, szczupłej twarzy. Obaj patrzyli na pusty plac fabryki pomp. Śnieg pokrywał skrzynie z pompami, które wkrótce miały zostać stąd zabrane. Gdy przyjdzie wiosna i zaczną się roztopy, robotnicy z fabryki wyrwą ustawione w stosy i sklezione śniegiem pompy i przetransportują je na stację GR&I, tam trafią one na platformy kolejowe i odjadą. Yogi Johnson wyglądał przez okno na zaśnieżone pompy, a jego oddech malował bajkowe wzorki na zimnej szybie. Yogi Johnson pomyślał o Paryżu. Być może to właśnie bajkowe wzorki przypominały mu o radosnym mieście, w którym spędził kiedyś dwa tygodnie. Najszcześniejsze dwa tygodnie w życiu. To było już za nim. To i wszystko inne.

Scripps O'Neil miał dwie żony. Kiedy patrzył przez okno, taki wysoki, szczupły i wytrzymały tą swoją wątpliwą krzepkością,



myślał o nich obu. Jedna mieszkała w Mancelonie, druga w Petoskey. Żony, która mieszkała w Mancelonie, nie widział od zeszłej wiosny. Spojrzał na pokryty śniegiem plac z pompami i pomyślał, co oznacza wiosna. Z żoną z Mancelony Scripps często się upijał. Kiedy był pijany, oboje czuli się szczęśliwi. Chodzili razem na stację kolejową i szli wzdłuż torów, a potem siadali razem, pili i patrzyli na przejeżdżające pociągi. Siadali pod sosną na niewielkim wzgórzu, z którego rozciągał się widok na linię kolejową, i pili. Czasami pili całą noc. Czasami pili przez calutki tydzień. Dobrze im to robiło. Dzięki temu Scripps był silny.

Scripps miał córkę, na którą w żartach mówił Lipa O'Neil. Naprawdę nazywała się Lucy O'Neil. Pewnej nocy Scripps stracił żonę po tym, jak pił z nią na torach przez trzy albo cztery dni. Nie wiedział, gdzie się podziała. Kiedy doszedł do siebie, wszystko spowijała ciemność. Szedł wzdłuż torów w kierunku miasta. Podkłady pod jego stopami były sztywne i twarde. Próbował iść po szynach. Nie potrafił. Od razu się zorientował. Wrócił do marszu po podkładach. Do miasta było daleko. W końcu dotarł w miejsce, z którego mógł zobaczyć światła stacji rozrządowej. Zszedł z torów i minął liceum w Mancelonie. Był to budynek z żółtej cegły. Nie miał w sobie nic z rokoka, jak te budynki, które widział w Paryżu. Nie, nigdy nie był w Paryżu. To nie on. To jego przyjaciel Yogi Johnson.

Yogi Johnson wyglądał przez okno. Wkrótce nadejdzie czas, żeby pozamykać fabrykę pomp na noc. Ostrożnie otworzył okno, tylko odrobinę. Tylko odrobinę, ale to wystarczyło. Śnieg na placu zaczął topnieć. Wiała ciepła bryza. Wiatr chinook, jak nazywali go pompiarze. Ciepły chinook wtargnął przez okno do fabryki. Wszyscy robotnicy złożyli narzędzia. Wielu z nich to Indianie.

Brygadzysta był niskim mężczyzną o żelaznej szczęce. Kiedyś wybrał się aż do Duluth. Duluth znajdowało się daleko za błękitnymi wodami jeziora, na wzgórzach Minnesoty. Przydarzyła mu się tam cudowna rzecz.

Brygadzysta włożył palec do ust, żeby go zwilżyć, i uniósł. Poczł na nim ciepłą bryzę. Potrząsnął głową ze smutkiem i uśmiechnął się do mężczyzn, może nawet trochę ponuro.

– No cóż, chłopcy, to zwykły chinook – powiedział.

Robotnicy, w większości bez słowa, odwiesili narzędzia. Na wpół ukończone pompy powędrowały na półki. Mężczyźni jeden za drugim skierowali się do umywalni, jedni rozmawiali, inni milczeli, kilku mamrotało coś pod nosem.

Z zewnątrz przez okno dał się słyszeć indiański okrzyk wojenny.

Scripps O'Neil stał przed liceum w Mancelonie i patrzył w oświetlone okna. Było ciemno i padał śnieg. Padał, odkąd Scripps pamiętał. Przechodzień zatrzymał się i wlepił wzrok w Scrippsa. Ale kimże był dla niego ten człowiek? Ruszył dalej.

Scripps stał w śniegu i wpatrywał się w oświetlone okna liceum. W środku ludzie uczyli się różnych rzeczy. Pracowali do późnej nocy, chłopcy rywalizowali z dziewczętami w zdobywaniu wiedzy, tej żądzy przyswajania rzeczy, która ogarnęła Amerykę. Uczyła się tam jego dziewczynka, mała Lipa, dziewczynka, która kosztowała go konkretne siedemdziesiąt pięć dolarów, bo tyle poszło na opłacenie lekarzy. Scripps czuł dumę. Dla niego na naukę już było za późno, ale Lipa, dzień po dniu i noc po nocy, się tam uczyła. Ta dziewczyna coś w sobie miała.

Scripps poszedł do domu. Nie był to duży dom, ale dla starej Scrippsa wielkość nie miała znaczenia.

– Scripps – powtarzała często, gdy pili razem. – Nie chcę pałacu. Chcę jedynie miejsca, w którym nie hula wiatr.

Scripps wierzył jej na słowo. Teraz, gdy szedł późnym wieczorem przez śnieg i zobaczył światła własnego domu, ucieszył się, że uwierzył jej na słowo. Tak było lepiej, niż gdyby wracał do pałacu. On, Scripps, nie był typem faceta, który chciał mieć pałac.

Otworzył drzwi swojego domu i wszedł do środka. Coś tłuło mu się po głowie. Próbował się tego pozbyć, ale na próżno. Co napisał ten poeta, którego jego kumpel Harry Parker spotkał kiedyś w Detroit? Harry często to recytował: „Przez rozkosze i pałace człowiek się telepie. Kiedy coś tam, coś tam, lecz w domu najlepiej”. Nie pamiętał słów. Nie wszystkich. Ułożył do nich prostą melodię i nauczył Lucy ją śpiewać. W czasach jego pierwszego małżeństwa. Gdyby Scripps miał szansę pójść tą drogą, mógłby zostać kompozytorem, jednym z tych gości, którzy piszą rzeczy grane potem przez Chicagowską Orkiestrę Symfoniczną. Dziś wieczorem sprawi, że Lucy zaśpiewa tę piosenkę. Już nigdy nie będzie pił. Picie odebrało mu słuch muzyczny. W czasach pijaństwa gwizdy nocnych pociągów przejeżdżających przez pagórki Boyne Falls wydawały się piękniejsze niż wszystko, co kiedykolwiek napisał ten koleś Strawiński. Picie to sprawiło. To było złe. Powinien był uciec do Paryża. Jak ten cały Albert Spalding, który grał na skrzypcach.

Scripps otworzył drzwi. Wszedł.

– Lucy – zawołał – to ja, Scripps.

Już nigdy nie będzie pił. Koniec z nocami na torach. Może Lucy potrzebowała nowego futra. Może mimo wszystko zamiast tego miejsca chciała mieć pałac. Nigdy nie wiesz, jak traktować kobietę. Może jednak w tym miejscu hulał wiatr. Wspaniale. Zapalił zapałkę.

– Lucy! – zawołał, a z jego ust dobieła się nuta niemego przerażenia.

Jego przyjaciel Walt Simmons usłyszał kiedyś właśnie taki wizg ogiera, kiedy uderzył w niego przejeżdżający autobus na placu Vendôme w Paryżu. W Paryżu nie było wałachów. Wszystkie konie były ogierami. Nie hodowali klaczy. Nie od wojny. Wojna wszystko zmieniła.

– Lucy! – zawołał. I jeszcze raz: – Lucy!

Odpowiedź nie nadeszła. Dom był pusty. Gdy Scripps tak stał samotnie, wysoki i szczupły, we własnym opuszczonym domu, do jego uszu przez oprószane śniegiem powietrze dobiegł odległy indiański okrzyk wojenny.